

Adam Wiaryga Minieski.

Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

28

20. października.

Byłam dzisiaj u Łuskowskiej... Zaniostałam jej dzieciom cukierków i ciastek... Wielka była uciecha i ja się rozweseliłam... Rzeźmiłam się nawet kilka razy, nie tak po mojemu, jak zawsze dla ludzi, ale prawdziwie, szczerze... Miłe dzieciaki, a ta Stefcia najstarsza, paradna ze swoją poważną miną. Nie zawsze posłuszne i grzeczne, ale przyjemne... Szalenie lubię dzieci, chociaż niewiele zwykle mam do nich szczęścia. Nic dziwnego, dzieci lubią ładne twarze...

Łuskowska tak narzeka. Ciężko jej, kłopotów ma wiele. Mężowi pensji nie podwyższyli, a tu z każdym dniem wszystko drożeje. Ona musiała zaprzestać stołowania, bo trudno o prowianty, a stołownicy kapryszą. Dzieci niszczą uorania, drą buciki...

— Sąd tu brać na to, proszę pani — mówiła mi — głowa pęka prosto! I przed wojną trzeba się było liczyć, a teraz, to już... no, szkoda nawet mówić... Pani, to ma święte życie... Sama... fach pani ma, zarabia pani trochę i o nikogo się pani troszczyć nie potrzebuje!

Zapewne. Tylko zapomniała, że nawzajem o mnie nikt się nie troszczy, że mogę jak pies bezpański iść gdzie mi się podoba i zdechnąć pod płotem, jeżeli mi się tak podoba...

Ciekawa jestem, czy by ona zamieniła się ze mną! Czyby mi odiała swojego chorowitego, trochę stetryczalego męża, który jednak serdecznie ją kocha i pracuje ile mu sił starczy i te dzieci rozkapryszone czasem, obdarzone doskonałym apetytem i wiecznie potrzebujące nowych ubrań i bucików, ale miłe, roztropne, szczeniaki — i ten dom własny pomimo wszystkich braków i niedomagań zaciszny, wygodnie urządzone, ciepłem uczucia owiany?...

Możeby tak spróbowała przenieść się do mojego „umeblowanego” pokoju, wracać po pracy do mych czterech ścian i zasypiać z taką wieczną pustką i nieukojoną tęsknotą w sercu... Niechby spróbowała! Zresztą, ona tego co mówi, nie myśli na serio. Ot, tak powie coś, aby powiedzieć! Ona wcale siebie ze mną nie porównuje. Mam to najgłębsze przekonanie, że uważa mnie za jakąś istotę bezpiciową, stojącą poza nawiasem kobiecości. Naturalnie; jestem przecież tak brzydka! I on także... Jemu napewno nigdy nawet do głowy nie przyszło posadzić mnie, że ja śmiałam zakochać się... Ja się przecież nie liczę...

22. października.

Coraz silniej dręczy mnie moja samotność. Z dreszczem wstrętu i trwogi wracam wieczorem do mojej „ciupy”. Gdybym to ja miała kogoś, ktoby potrzebował mojej opieki, komuby choć trochę zależało na mnie. Jestem samodzielną i niezależną, a jednak chętnie poddałabym się jakimś kaprysom nawet, żeby tylko czuć się potrzebną... nie tak bardzo samotną... nie tak bardzo nieszczęśliwą...

Chwyta mnie taka tęsknota za jakimś żywym stworzeniem, że już myślałam o tem, aby chować sobie jakieś zwierzę: psa albo kota. Nie zrobiłam tego — wstyd wyznać samej przed sobą dlaczego... Zlekłam się, że powie ktoś: „staropaniński” nałóg... Jakież to śmieszne u mnie, która przecież od chwili urodzenia skazana jestem na staropaniństwo, bo ktoby się ożenił ze mną? Chyba niewidomy... Może, gdybym miała duży majątek... ale na to znów jestem za inteligentna i wzdrygnęłabym się przed tem, żeby męża sobie kupować...

Od najmłodszych lat osławiano mnie z myślą, że zostanę sama. Ciągłe słyszałam: „Trzeba coś z Kornelką zrobić... ona taka brzydka, za męża nie wyjdzie!”

No, to nie wyjdę! Czy mi naprawdę tak bardzo o to chodzi?

A jednak czuję w sobie jakąś trwogę wobec miana „stara panna” w zastosowaniu do siebie. To tradycyjne, tego nie zmienia żadne teorie ani rozumowania... Nie jestem jeszcze stara... mam dopiero dwadzieścia lat skończonych...

Co?... Co ja właściwie myślę?... Może to początek jakiejś manii prześladowczej? A gdybym tak była bardzo, bardzo bogata i mogła pieniędzmi kupić sobie... jego... Ludwika, czy zrobiłabym to?... Nie wiem...

23. października.

Meć jakiś cel taki zwykły, codzienny, bliski, jak inne kobiety! To by mi pomogło zdławić, zdusić tę burzę, która szaleje we mnie!

Aha! Muszę w moim obrachunku życiowym za-

notować jeszcze jedno niepowodzenie... Przyszło mi do głowy, żeby w święta pójść do którego szpitala i zanieść co rannym żołnierzom. Kupiłam dobrych papierosów, książek, gazet (wszystko za moje własne, ciężko zapracowane grosze — nie zebrałam po sklepach, redakcyach i księgarniach, tak, jak to robią rozmaite damy „dobroczynne”) i poszłam.

Nie szłam do oficerów, ani do jednoroczników, bo wiem, że tam opiekunek dosyć, ale do prostych żołnierzy. Nie byłam jednakowoż sama. Prócz mnie przysłała na tę salę różowa, szczeniaki, bardzo ładna panienka, dwie młode kobiety, bardzo gustownie, choć ciemno i skromnie ubrane... Przyniosły mniej niż ja cukierków i ciastek, daleko gorsze papierosy, zapomniały o piśmie i książkach, a jednak chorzy przywitali je inaczej, niż mnie...

One umiały tak ładnie patrzeć, tak wdzięcznie się uśmiechać, tak słodko mówić... Słyszałam, jak jeden z żołnierzy mówił do sąsiada o różowej panience, że wygląda jak „aniołek”...

Moje cukierki zjedzono ze smakiem, papierosy zapalono z przyjemnością, książki powędrowały pod poduszki, ale stanowczo dękowano mi powściągliwiej i chłodniej, niż tamtym, mniej się mną zajmowano...

Odbiła mi się nawet o uszy mało pochlebna uwaga młodego, ośmastoletniego może chłopaka wiejskiego: „ta panna, to bardzo nieprzyjemno na gębę”...

Nie mam żalu do tego chłopca... Powiedział, co myślał. Mówił zresztą cicho, przypuszczał zapewne, że nie usłyszę. Cóż on temu winien, że ja jestem tak bardzo „nieprzyjemno na gębę”...

24. października.

Wypadł mi dzisiaj z książki, którą sobie przewiozłam od Heli, wycinek z gazety. Było to ogłoszenie owego inwalidy bez ręki... Poszukuje dla siebie towarzyszkę życia i opiekunki dla swoich trojga dzieci... Uroda i majątek obojętne... Chodzi mu tylko o to, żeby to była kobieta „dobra, łagodna, pracowita, skromna”...

Już wtedy w Zalesinkach zastanowiło mnie to ogłoszenie, a teraz, chcąc nie chcąc, muszę myśleć o niem...

A gdyby... Cóżby w tem było złego? Jeżeli to człowiek inteligentny... Wprawdzie zawieranie małżeństw, czy znajomości przez ogłoszenia jest rzeczą śmieszną, niską, trywialną, ale w tym wypadku... Żołnierz-kaleka szuka kobiety, któraby go pielęgnowała i matki dla swoich sierót... Ciekawam, co to za jeden.

Niedziela.

Niedziela! Najbardziej pusty, męczący dla mnie dzień z całego tygodnia; choć to dzień wytchnienia, odpoczynku! Co robić z tą długą, nudną niedzielą, która zda się nie ma końca!

A jak na złość ta dzisiejsza niedziela taka pogodna, ciepła, słoneczna, jakby to nie późna jesień była, nie koniec października!

Tłumy odświeżenie przybrane wyległy na ulicę. Kawiarne, kina, teatry przepelnione! Bo chociaż wojna... i drożyzna rośnie, i nędza po kątach się tuli... i gdzieś tam niezbyt daleko szaleje śmierć, groza, zniszczenie — jednak życie toczy się swoim utartym torem.

Ludzie bawią się, kochają, śmieją się, stroją, spacerują... Mogłam i ja iść do znajomych jakichś, do której z koleżanek, ale nie chciałam... Dosyć mam już tej roli wiecznej, cierpliwiej, biernej powiernicy... Wołałam już iść do kina, ale wynudziłam się straszliwie. Potem wypilałam szklankę mleka i poszłam do domu, naturalnie sama...

3. listopada.

Napisałam pod podanym w ogłoszeniu adresem. Będzie to w każdym razie pierwsza w moim życiu „awantura”. Oczywiście uprzedziłam adresata, że jestem brzydka.

— — — — —

— Muszę cię już pożegnać, Janko!

— Ależ nie! Chodź jeszcze kawalek ze mną, podprowadź mnie do mojej krawcowej. Chodź, Kornelko, tyle ci mam jeszcze do opowiedzenia — prosiła koleżanka.

Istotnie czarnooka Janka mogła bez końca opowiadać i opowiadać, o tem, co jej mówił podczas urlopu, a co później pisał narzeczony, ułan z pułku Beliny.

— No, idziesz ze mną?

— Nie, Janko, nie mogę, spieszy mi się!

— Powiedziałby kto, że się boisz spóźnić na „randkę”.

Przy tych słowach Janka roześmiała się tak głośno i serdecznie, jakby to wypowiedziane przez nią przypuszczenie było jakąś ogromną, samą przez się komiczną niedorzecznością.

Lekkie, niedostrzegalne prawie drgnienie prze-

biegło po twarzy Witowtówny... Ale śmiała się także.

— Ty masz pomysły, Janko! Ja i randka... Niemniej jednak spieszę się. Do widzenia!

— Pa, Kornelko!

Kornelia pożegnała się z koleżanką i szybkim krokiem skierowała się w ulicę Floryańską.

Zatrzymała się przed cukiernią. Długą chwilę stała niezdecydowana, wahając się, czy wejść. Wreszcie z mocnym jakimś postanowieniem ściągnęła swoje bezbarwne brwi i weszła.

W cukierni było prawie zupełnie pusto. Panna za bufetem, założonym ciastkami, czytała jakąś powieść. Przy jednym ze stolików siedział starszy, poważny jegomość, popijał ciepłe mleko i czytał gazetę. Opodał zaś jakiś młodzieniec ze zmiętą, niezdrówą cerą i bujnie powichrzoną czupryną, drzemał, wtuliwszy się w róg kاناپی.

Oprócz tych dwóch w lokalu znajdował się jeszcze jeden gość. W głębi, przy stoliku, pod lustrem, siedział mężczyzna czterdziestoletni może, czysto i starannie ubrany. Twarz miał bladą i smutną, jakby był chory, zmęczony, czy znękan. Regularne rysy i wielkie, szare, wyrażały oczy, czyniły go pomimo zmizerowania przystojnym. Szczególnie w miłym rysunku ust było coś dziwnie miłego i pociągającego. Lewy rękaw był pusty, a w prawej ręce mężczyzna obracał gałązkę drobnych, białych chryzantemów.

Spojrzenie Kornelii padło na pusty, zwieszony rękaw, na białą gałązkę, a potem z błyskawiczną szybkością przeniosło się na sympatyczną twarz mężczyzny.

Śmiałym, zdecydowanym krokiem podeszła do stolika, chociaż krew biła jej ponsową falą do głowy.

— Czy z panem Rogoziewiczem mam przyjemność?

— Tak jest — odparł mężczyzna, wstając.

— Jestem Kornelia Witowtówna.

Rogoziewicz spojrzał i drgnął. Pierwszy odruch jego był taki, jakby chciał cofnąć się o krok, ale opanował się natychmiast i z przyjaznym uśmiechem wyciągnął rękę ku stojącej przed nim kobiecie.

— Dziękuję, że pani przyjęła zechciała.

Kornelia spostrzegła ten pierwszy ruch i przykre drgnienie twarzy. Ręka, którą Rogoziewicz uściśnął, zimna była i sztywna.

Dziewczyna roześmiała się ostro, nieprzyjemnie.

— Proszę pana, niech pan będzie szczerym. Ja nie jestem w pretensjach, wiem, co mam sądzić o mojej powierzchowności. Uprzedziłam pana wprawdzie, że jestem brzydka, ale czegoś podobnego nie spodziewał się pan... Niechże pan powie odrazu, że jestem za brzydka, aby pan wogóle chciał mówić ze mną...

Mężczyzna łagodnie potrząsnął przecząco głową i ścisnąwszy silniej rękę Kornelii, przymusił ją prawie, aby usiadła.

— Nie, proszę pani, nie powiem tego, bo tego nie myślę. Nie szukam piękności, a w oczach pani czytam rozum i dobroć... Moja pierwsza żona była piękna, a jednak ta jej uroda nie dała mi szczęścia, przeciwnie, była źródłem cierpienia i niesnasek...

— Ale pan ją kochał!

— Tak, bardzo. Jednak byłaby może szczęśliwszą i ja przy niej, gdyby trochę mniej była ładną...

— Co innego mniej ładna, a co innego brzydka potwornie, jak ja.

Uśmiechnął się łagodnie, miękko, współczująco.

— Dużo pani musiała doznać w życiu przykrości i jest pani na tym punkcie nadto drażliwa. Dziwny to jednak trochę początek rozmowy. Dajmy temu spokój. Teraz na mnie kolej zapytać panią, czy się pani nie przestraszyła schorowanego kaleki?

— Ach, panie! Powiem otwarcie, że o ile pan doznał przykrego, to ja miłego rozczarowania. Bo mimowoli jakaś nieufność względem człowieka...

— Który umieszcza w gazecie ogłoszenie małżeńskie, prawda? Ja sam przyznaję, że to droga nieprzyjemna, ja jednak chcę się ożenić, a wolę ogłoszenie, jak swaty mam, cioc i kuzynki. Tutaj przynajmniej dwoje ludzi ma do czynienia tylko ze sobą...

— Tak, to prawda...

— Pani napije się czego? Herbaty, czekolady?...

— Napiję się herbaty.

— Chłopcze! Herbata! — zawołał Rogoziewicz.

Chłopiec przyniósł herbatę. Kornelia powoli piła gorący napój łyżeczką, nie patrząc na swego towarzysza.

Rogoziewicz przysunął się ku niej bliżej i mówił przyciszonym głosem:

— Nie chcę pani łudzić... Jestem nie tylko kaleką, ale człowiekiem chorym, bo wojna szarpała mi nerwy... Dlatego nie mogę wziąć żadnej posady i muszę się zadowalać małą emeryturką... Prócz niej